

WOLDENBERCZYCY

*Niezapomnianym Przyjaciółom,
oficerom września – Woldenberczykom:
Edwardowi Tomczykowi,
Bernardowi Kuli,
Janowi Gruchale.*

Wymarsz w nieznane

W największym w Niemczech obozie jenieckim oficerów polskich w Woldenbergu, który na dawnych mapach figurował jako Dobiegniew, od kilku dni panowało podniecenie. Nashłuch radiowy, prowadzony ze starannym ukrytym odbiornikiem, mówił o szybkim postępie ofensywy Armii Radzieckiej. Od kilku dni w obozie słychać było dalekie armatnie odgłosy. Toteż jeńcy nie byli zaskoczeni, gdy 25 stycznia 1945 r. Niemcy zarządzili ewakuację obozu. W wielkim pośpiechu wyprowadzono za druty 6500 jeńców. W obozie pozostawiono tylko 150 chorych i niezdolnych do marszu. Resztę wyprowadzono zaśnieżonymi, polnymi drogami w kierunku północno-zachodnim. Idąc w kolumnie rzuciłem okiem na obóz, nigdy przed tym, z tej perspektywy, przez nas nie oglądany. Teraz wydał mi się bardziej rozległy i ponury, z rozrzuconymi pośrodku rzędami niskich baraków z czerwonej cegły, pokrytych czarną papą. Całość szczelnie opasana wysokim podwójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego z kłębówiskiem drutów pośrodku. Osiem wież strażniczych, z wystającymi lufami karabinów maszynowych, stanowiło skuteczną zaporę ogniową. Groźnie wyglądające ogrodzenie obozu i ustawiczne jego pilnowanie we dnie i w nocy wydawało się niemożliwe do przekroczenia i ucieczki. Jednak w ciągu tych pięciu lat zdarzyło się 70 ucieczek, z czego 25% było udanych.

Szliśmy tak trzy dni, z małymi przerwami w marszu. Na noclegi lokowano nas w stodołach przydrożnych majątków. W dniu 28 stycznia, w jednym z takich majątków – Dziejnice (Detz), zagon czołgów radzieckich odbił nas. Niestety, w trakcie tej akcji, poległo 22 naszych oficerów, a 34 było rannych. Stratę tę odczuliśmy boleśnie, zwłaszcza, że stało się to w dniu, w którym kończyła się niewola. Druga grupa jeńców, która szła na zachód innymi drogami, na wyzwolenie i powrót do kraju musiała czekać do marca lub nawet o wiele dłużej.



Na spacerowym szlaku

Pochód długiej naszej kolumny, przez rozległy zaśnieżony krajobraz, na którym nic się nie działo, nie był w stanie wyprzeć z moich myśli obrazów, wydarzeń i scen obozowych, z którymi obcowało się przez długie lata. Teraz szliśmy prosto, jakąś gospodarczą drogą, której końca nie było widać. W obozie na szlaku spacerowym chodziło się zwykle w kółko. Linia jego biegła dookoła obozu, nieopodal wewnętrznego ogrodzenia. Spacerujący tworzyli jedno wielkie koło w ustawicznym ruchu. Chodziło się zwykle we dwóch, rzadziej pojedynczo lub w większej grupie. Dla mnie, wówczas młodego porucznika, dowódcy kompanii zwiadowców, wszyscy byli tylko oficerami. Różnili się jedynie stopniem, wojennym przydziałem lub wiekiem. Dopiero znacznie później mogłem spojrzeć na naszą obozową społeczność głębiej, szerzej i dostrzec w niej wielkie zróżnicowanie i osobnicze bogactwo.

Na początku pobytu w obozie, szczególnie utkwił mi w pamięci, przywieziony ze szpitala oficer marynarki. Zawsze można było go spotkać na porannym spacerze. Wożony był przez kolegów na inwalidzkim wózku. Nie miał obu nóg. Stracił je od bomby, w czasie nalotu lotniczego na którymś z naszych okrętów. Promieniowała od niego radość i humor. Cieszył się życiem i zapewne tym, że wyszedł z ciężkiej opresji, że jest wśród marynarzy, którzy otoczyli go serdeczną opieką. Tak radosnego drugiego człowieka w całym obozie, trudno było spotkać. Gdy po pewnym czasie Niemcy doszli do wniosku, że nie jest groźny dla Rzeszy, postanowili go zwolnić z niewoli. Niemiecka decyzja wcale go nie ucieszyła, wołał pozostać w obozie, wśród swoich.

Któregoś dnia, idąc na spacer, spotkałem kolegę porucznika z mojego baraku. Stał poza linią baraków, zapatrzony na spacerujących, jak gdyby wypatrywał kogoś ze znajomych. Był znacznie starszy wiekiem ode mnie i znanym z tego, że przeważnie bywał przygnębiony i ponury. Często przebywał w obozowej kaplicy. Pochodził ze Stanisławowa. Zupełnie utracił kontakt z rodziną. Zapewne to go głównie przygnębiało.

- Proponują mały spacer – zwróciłem się do niego.
- Czy to warto? Ostatecznie pójdę z panem, bo samemu iść mi się nie chciało.

Ruszyliśmy. Po chwili ciągnął dalej:

– Od pewnego czasu przyglądam się niekończącemu się sznurowi spacerujących i doszedłem do wniosku, że wszystkich ich można poustawiać przed głęboką szczeliną w ziemi, która wszystkich pochłonie według kolejności, niechybnego ich zgonu.

– Co prawda nie jest to odkrycie na miarę Newtona – niegrzecznie odpowiedziałem, ale przyznam, że ma swą apokaliptyczną wymowę. Cieszymy się jednak tym, że cało wyszliśmy z

wojny, że mamy obie nogi, nie jak ten na wózku marynarz. ~~Spłóza już w XVII wieku radził, by o życiu myśleć więcej niż o śmierci. Trzymajmy się tego.~~

Milczał. Poszliśmy dalej, unikając drażliwych tematów. Włączyliśmy się do koła spacerowiczów tuż za płk. Morawskim.

Płk. dyplomowany Witold Morawski był w obozie postacią dobrze znaną. Przed wojną attaché wojskowy w Berlinie, w czasie wojny pełnił funkcję szefa sztabu Armii Karpaty. Przystojny, postawny, w dobrze skrojonym mundurze z orderem Virtuti Militari na piersi. Niekiedy miewał niezwykle interesujące wykłady. Był człowiekiem o rozległych myślowych horyzontach. Zawsze pełen dobrego nastroju i błyskotliwego humoru. Po pewnym czasie płk. Morawskiego, Niemcy przenieśli do obozu Gross Rozen, a w 1944 r., za działalność konspiracyjną, sięgającą poza obóz, wydano go w ręce gestapo i wywieziono do obozu koncentracyjnego w Mauthausen. Po kilkutygodniowych przesłuchaniach, połączonych z torturami, został rozstrzelany razem z kilkoma oficerami z jego otoczenia. Śmierć pułkownika mocno nas przygnębiła.

Niekiedy na spacerze z płk. Morawskim można było spotkać por. Büllowa. Był Niemcem, ale polskim obywatelem i oficerem jednego z pułków Wielkopolskiej Brygady Kawalerii. Pewnego dnia do obozu przyjechało dwóch jego stryjecznych braci, pułkowników Wehrmachtu, z myślą zabrania go z obozu. Przed spotkaniem, porucznik poprosił starszego obozu, płk. Szalewicza, o przydzielenie mu tłumacza, jako świadka rozmowy. Był nim por. Chrzanowski, znany adwokat z Bydgoszczy. Rozmowa doszła do skutku. Obecny przy tym por. Chrzanowski zameldował starszemu obozu, że bracia stryjeczni por. Büllowa przyjechali z odpowiednimi upoważnieniami, by zabrać z obozu swego kuzyna, lecz on kategorycznie odmówił, oświadczając, że jest obywatelem polskim i polskim oficerem i że pozostanie w niewoli tak długo, jak jego koledzy. W obozie przebywał do końca, zachowując się wzorowo, jako oficer i obywatel polski. Był to nie jedyny dowód na to, że w niewoli oficerski honor miał swoją wagę.

Rotmistrz Andrzej Niegolewski, adiutant gen. Abrahama, dowódcy Wielkopolskiej Brygady Kawalerii, także często bywał na spacerze. Wysoki, przystojny, chodził wolno, nigdy się nie śpiesząc. Budził powszechne zainteresowanie, przede wszystkim jako prawnuk napoleońskiego szwoleżera. Jego pradziad szarżując w wąwozie Samosierra na czele polskiego szwadronu, zdobył hiszpańskie baterie. Za co Napoleon mianował Niegolewskiego pułkownikiem. Był on także wnukiem Władysława, posła do Sejmu Pruskiego, bojownika o prawa Polaków, a także uczestnika Powstania Wielkopolskiego.

Podporuczników Lwa i Eustachiego Sapiechów niekiedy także można było spotkać na porannym spacerze. Pochodzili ze starego książęcego rodu. Obaj budzili zainteresowanie, chociaż niczym nie rzucali się w oczy. Trudno się dziwić, że darzono ich zainteresowaniem, bowiem ród Sapiechów już od XVI wieku wszedł na trwałe do historii Polski i Litwy. Ich przodkowie pełnili funkcje nadwornych marszałków, podskarbich, kanclerzy, wojewodów i hetmanów polnych. Jeden z Sapiechów był generałem artylerii. Sapiechowie brali udział w wojnie ze Szwedami, na Dzikich Polach, a później w powstaniu Listopadowym. Adam Sapiecha (1867-1951) arcybiskup, metropolita krakowski, a od 1946 r. kardynał, słynął z nieugiętości wobec niemieckich władz okupacyjnych, a później stalinowskich. *iv wojnie z bolszewikami w T.*

W końcu niewoli obaj Sapiechowie doskonale zdawali sobie z tego sprawę, że pod rządami komunistów i w kraju pod dominacją sowiecką, nic dobrego nie może ich spotkać. Obaj zostali na Zachodzie. Eustachy osiedlił się w Nairobi, gdzie pędził życie zawodowego myśliwego. Gdy niekiedy przyjeżdżał do kraju, zawsze odwiedzał Warszawski Klub Woldenbereczyka, by odnowić dawne obozowe znajomości. Zmarł w marcu 2004 r. w Nairobi, ale przed śmiercią wyraził życzenie, by prochy jego spoczęły w ziemi ojczystej.

Kpt. Wacław Dąbrowski przechadzał się zwykle wolnym krokiem. Wiedzieliśmy, że ma kłopoty ze zdrowiem. Był zastępcą dowódcy załogi na Westerplatte. Dowódca załogi, major Sucharski, przebywał w innym obozie.

Wielu z nas zazdrościło kapitanowi jego wojennego przydziału i działań. Załoga Westerplatte miała się bronić przez 6 godzin, później czas ten zwiększono do 12 godzin. Po ich upływie z odsieczą przybyć miało wojsko. Nie przybyło. Załoga broniła się bohatersko przez siedem dni. Byli ostrzeliwani z ciężkich dział pancernika Szlezwig Holstein, bombardowani przez eskadry samolotów i uparcie szturmowani przez 3,5 tysiąca żołnierzy.

Z czasem dotarł do nas ze stalagu, gdzie przebywał Gałczyński, jego utwór, który rozpoczynał się czterowierszem:

*Kiedy wypełniły się dni
i przyszło zginąć latem
prosto do nieba czwórkami szli
żołnierze z Westerplatte.*

Kpt. dyplomowany Józef Kuropieska, najczęściej chodził razem z ppor. Adamem Uziębło. W obozie obaj byli dobrze znani. Pierwszy z tego, że był jednym z nielicznych kapitanów po Wyższej Szkole Wojennej. Drugi uchodził za intelektualistę, wykładał logikę i gruntownie znał marksistowską literaturę. Obaj zresztą nie kryli się ze swymi lewicowymi przekonaniami. Kpt. Kuropieska był krępy i mocno zbudowany, pełen energii, działania i

chęci ruchu. W sezonie jesienno-zimowym zwykle chodził, jako jedyny w obozie, w długich filcowo-gumowych butach, które były przedmiotem zazdrości nie jednego z nas, chodzących zwykle w drewniakach. Nawyk spacerów widać pozostał u niego po powrocie do kraju. Przez długie lata, zwykle w marcu, można było go spotkać, gdy w wiosennym słońcu, obnażony do pasa szedł z Kasprowego Wierchu Boczaniem na Karczmisko. W obozie uchodził za znawcę sztuki wojennej i analityka działań militarnych na wszystkich frontach. Jego polityczne przekonania z pod znaku KPP, jako oficera zawodowego po Wyższej Szkole Wojennej, raziły nie jednego. Jako polityk nie cieszył się zbytnio autorytetem. Uważano, że jest zbyt łatwowierny i uległy propagandzie ze Wschodu.

Ppor. pilot Ciarkowski i ppor. Nałkowski postanowili uciec z obozu. Decyzja i sposób ucieczki uchodziły za nieprzemyślane, lekkomyślne i pełne młodzieżowej brawury. Z góry założyli, że ucieczka uda się tylko jednemu z nich. Zadaniem drugiego, miało być odwrócenie uwagi wartownika. Podział ról uzależnili od przypadku i szczęścia jednego z nich. Rano widziałem tylko ppor. Ciarkowskiego, leżącego między drutami. Prawdopodobnie postrzał dostał z tyłu. Upadł na kolana, a potem oparł się o ziemię łokciami i opadł na plecy. Głowę miał odchyloną do tyłu, oczy otwarte, włosy rozwichrzone, twarz bez śmiertelnego grymasu. Leżał między drutami 7-8 m od linii naszych spacerów, na wprost mojego baraku nr 11. W ciągu dnia byłem przy nim dwukrotnie. (Niemcy przez cały dzień nie zabierali zwłok, traktując je jako ostrzeżenie dla innych.) Patrzyłem na niego z żalem i współczuciem. Zmówiłem „wieczny odpoczynek” i pożegnałem go na zawsze.

Żyd kpt. Unger, był tylko w połowie starszym baraku 12A, w którym Niemcy ulokowali 80 oficerów pochodzenia żydowskiego. Starszym baraku, przynajmniej również w połowie, był kpt. Szempliński, mój dobry znajomy z przedwojny. Obaj uprawialiśmy szermierkę, on szpadę, ja zaś szablę. Odwiedzałem go niekiedy. Pełnił funkcję starszego baraku na zmianę z Żydem kpt. Ungerem. Co zresztą wytargował dopiero od Niemców starszy obozu płk. Szalewicz. Niemcy początkowo nie chcieli się zgodzić, by starszym baraku był Żyd. Ostatecznie zgodzili się by był nim tylko w 50%. Kpt. Unger był postacią niezwykłą, promieniował od niego godność i spokój. W obozie był członkiem ^{Batalionowego} Oficerskiego Sądu Honorowego. Za wojnę 1920 r. odznaczony był orderem Virtuti Militari. Wywodził się z PPS, wyraźnie jednak odcinał się od komunistycznej ideologii. W obronie Warszawy w 1939 r. dowodził robotniczym batalionem. Często go widywałem między sąsiadującymi ze sobą naszymi barakami i zawsze z szacunkiem oddawałem mu honor.

Obozowe miasteczko uniwersyteckie

W obozie toczyło się bujne życie organizacyjno-społeczne, naukowe i kulturalne. Czysto wojskowe sprawy nie były pomijane, biegły one swoim, dobrze zorganizowanym tajnym nurtem. Obóz z powodzeniem mógłby uchodzić za miasteczko uniwersyteckie. Prowadzono tu studia w wielu kierunkach nauki. 80 wykładowców z naukowymi tytułami, czynnych było w 27 sekcjach-katedrach. „Bratnia Pomoc” liczyła 1 500 członków. Obozowy zasób książek wynosił około 50 000 tomów, z czego 25% było w językach obcych. Przeciętny jeńiec rocznie czytał 50 książek. Książka była nie tylko źródłem wiedzy, ale także stanowiła ważny czynnik higieny psychicznej i rozrywki.

Działy tu orkiestry i chóry. Teatr, w okresie swego istnienia, wystawił 24 sztuki, niektóre wielokrotnie. „Cyrulika Sewilskiego” wystawiono 36 razy, „Zemstę” 34.

Znaczną działalność rozwijali graficy, malarze i rzeźbiarze. Szczególnie dużymi osiągnięciami artystycznymi zasłynęli drzeworytnicy. Z działalności literackiej największym powodzeniem cieszyła się poezja. Ogłaszano również konkursy literackie, plastyczne i kompozytorskie, które skutecznie pobudzały obozową twórczość. Ważną rolę dla zdrowia, sprawności fizycznej i higieny psychicznej odgrywały, systematycznie prowadzone, ćwiczenia fizyczne, gry sportowe i lekkoatletyka. Wielkim wydarzeniem w obozie w 1944 r. w dniach od 23 lipca do 13 sierpnia było zorganizowanie igrzysk olimpijskich. Wzięło w nich udział, uprzednio wyeliminowanych, ponad 460 zawodników. Całością organizacji kierował por. Antoni Grzesik, dowódca kompanii, w szeregach której w 1939 r. walczył Janusz Kusociński. W roku 1944 powiewała w obozie flaga olimpijska, jako jedyna w świecie.

Duński pastor w obozie

Od 1942 r. stosunkowo często odwiedzał obóz, jako delegat YMCA, duński pastor ewangelicki Christian Christiansen z Kopenhagi. Często kontaktował się z jeńcami i robił wszystko, by ułatwić im życie. Odwiedzał kaplicę obozową, bibliotekę, zespoły muzyczne i naukowe, świetlice, pracownie rzeźbiarskie i malarskie. Zaspokajał, w miarę możliwości, ich potrzeby. Dla obozowej orkiestry sprowadził fortepian i pianino, nie licząc innych instrumentów muzycznych. Na potrzeby druku obozowego znaczka pocztowego sprowadził ze Szwecji specjalny papier. Do nauki języków obcych dostarczał także patefony wraz z kompletami płyt i podręczników. Sportowców obdarzał piłkami i sprzętem lekkoatletycznym. Bardzo interesował się pracami naukowymi. Kilkanaście prac tego rodzaju zabrał na przechowanie do Kopenhagi.

12 listopada 1943 r. w czasie wizyty pastora w obozie, zaproszono go na „Aidę” Verdiego. Impreza była dziełem Chórów „Harfa” i „Echo” oraz orkiestry symfonicznej. Gość był imprezą urzeczony. Nie wyobrażał sobie, że tak wystawioną „Aidę” można było oglądać w jenieckim obozie. Nie szczędził słów uznania i podziwu. Cieszył się, że dostarczone przez niego instrumenty muzyczne świetnie były wykorzystane. Pastor z jeńcami polskimi do tego stopnia był związany, że po wojnie przyjeżdżał do Dobiegniewa, na ich zjazdy.

Obozowy nurt polityczny

W pierwszych dwóch latach w obozie nie istniały organizacje polityczne. Oficerów zawodowych obowiązywał nawet zakaz należenia do jakichkolwiek partii politycznych. Zakładano, że armia powinna być apolityczna i ma służyć całemu narodowi. Z lewicowych partii tylko PPS cieszyła się sympatią, nie przejawiając zresztą żadnej działalności. Początkowo także nie ujawniali się komuniści. „Na blisko 6000 oficerów w obozie rzeczywistych członków, bądź aktywnych sympatyków przedwojennego KPP było zaledwie kilku. Dopiero w 1944 r., z chwilą powołania w kraju do życia PPR, przejęli jej nazwę obozowi komuniści, których w sumie już było 20” (Jan Olesik, „Obóz IIC Woldenberg”, MON 1988). Trzeba przyznać, że liczba ich nie była imponująca, ale jednak rosła w miarę posuwania się Armii Radzieckiej na Zachód. Większość oficerów komunistom nie ufała i nie wierzyła w dobre intencje Związku Radzieckiego w stosunku do Polski. Ciągłe żywo pamiętano ich inwazję na Polskę 17 września 1939 r., w dodatku pogłębianą czwartym rozbiorem Polski i wspólnym oświadczeniem z Niemcami, że państwo polskie już nie istnieje. Na czym, jak się później okazało, Himler oparł swoje żądanie, z dnia 18 stycznia 1943 r., likwidacji oflagów i skierowania polskich oficerów do obozów koncentracyjnych. Wiedzano również dobrze o wywożeniu wszystkich Polaków na wschód od linii Ribbentrop-Mołotow na Sybir i do Kazachstanu. Wszyscy w obozie byli także święcie przekonani, że Katyń był dziełem Rosji. Obozowi komuniści napotykali na nie byle jakie trudności. Czas, przebiegła polityka Kremla i potęga Czerwonej Armii, robiły swoje. Powoli przybywało zdecydowanych peperowców. Reszta, chociaż niechętnie, musiała pogodzić się z rzeczywistością i czekać co będzie dalej.

Po powrocie

Po powrocie do kraju Woldenberczycy, chociaż pełni niepewności i obaw, włączyli się do pracy. Do swoich zawodów i działań byli świetnie przygotowani. W Warszawie w owym

czasie sześciuset z nich dostało zatrudnienie. Większość w swoim zawodzie należała do wybitnych. Nie sposób tu ich wszystkich wymienić. Ograniczę się tylko do dwóch, najbardziej spektakularnych osiągnięć, które wielu szczególnie uderzyło i zadziwiło. Pierwsze, to projekt odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie, sporządzony przez Woldenberczyka inż. arch. Jana Bogusławskiego. Dzieło jego jest wielkie, wspaniałe i godne podziwu. Dziś trudno nawet sobie wyobrazić Stolicę Polski, bez tak odbudowanego zamku.

Drugim Woldenberczykiem, szczególnie zasługującym na podziw, jest ppor. Wacław Skuratowicz, który przez czas niewoli, jako jedyny w obozie, nauczył się trudnego języka arabskiego. W końcu dobrze opanował go w mowie i piśmie. Otworzyło mu to drogę do kariery dyplomatycznej. Początkowo był sekretarzem w kilka naszych placówkach dyplomatycznych na Bliskim Wschodzie, a w końcu został ambasadorem.

Niemal równie Woldenberczyków znalazło się w służbie wojskowej. Komisje Weryfikacyjne dla oficerów powracających z niewoli, postanowiły wzmocnić kadry ludowego wojska, przez powołanie oficerów przedwojennych do służby czynnej. Niektórzy z powołanych szybko awansowali i otrzymywali w wojsku wysokie stanowiska. Po pewnym czasie nie wszystkim to się podobało. Już w styczniu 1950 r. ówczesny minister Obrony Narodowej, Konstanty Rokossowski wydał rozkaz usuwania przedwojennych oficerów z ludowego wojska. Najbardziej jednak wrogi stosunek do polskich oficerów, szczególnie wybitnych, przejawiała „Informacja Wojskowa” gdzie działali w polskich mundurach oficerowie radzieccy. Zaczynały się śledzenia, areszty i procesy, z reguły pod fałszywymi zarzutami.

Jak to się zwykle zaczynało? W marcu 1950 r. na Kasprzym Wierchu przypadkowo spotkałem gen. Kuropieskę. Ubrany był podobnie jak ja, w wiatrówkę i spodnie narciarskie. Odwołał mnie na bok i pokazał stojącego opodal osobnika w czarnej długiej jesionce, który stale go śledził. Generał wyraźnie stracił dawny humor i pewność siebie. Zapewne już zdawał sobie sprawę z tego, czym się to skończy. W krótkim czasie został aresztowany i oskarżony o szpiegostwo na rzecz Wielkiej Brytanii. W 1954 r. wojskowy sąd skazał go na karę śmierci. Na szczęście wyroku nie wykonano. Gdy przyszedł Październik, wyrok uchylono, zwolniono z więzienia, a następnie zrehabilitowano. Był on niezwykle wojskowo uzdolniony i „bardzo inteligentnym człowiekiem” – jak go określił Stefan Kisielewski („Abecadło Kisiela”, 1988 r.). Odszedł z wojska w stopniu gen. broni. *Zmarł w 1998 r.*

W mniej więcej w tym samym czasie w Warszawie, spotkałem dobrze mi znanego z niewoli, płk. Stefana Zielke. W obozie uchodził za wybitnego znawcę sztuki wojennej. Po powrocie z niewoli był komendantem Wyższej Szkoły Artylerii w Toruniu. Mówił mi, że

kiedy był w czynnej służbie wojskowej, czuł się dziwnie niepewnie. Wiedział, że ciągle jest śledzony. Ażeby ułatwić wgląd w jego życie osobiste, zaprosił do siebie na stałe obiady, jednego z radzieckich oficerów. Jak się okazało, niewiele to pomogło. Aresztowano go i w czasie przesłuchań przez radzieckich oprawców, był nieludzko bity. Teraz w Warszawie, gdy go spotkałem, chodził z laską, powłócząc lewą nogą. Na skutek bicia był częściowo sparaliżowany.

Podałem tylko dwa, dobrze mi znane przypadki pozbywania się przez ludowe wojsko wybitnych oficerów. Podobnych przypadków było więcej. Dla niektórych skończyło się to tragicznie. Dla ich uczczenia zamieściliśmy w kościele w Dobiegniewie i w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie, brązowe tablice z 21 nazwiskami ofiar stalinizmu z dowódcą Marynarki Wojennej kontradmirałem Adamem Mohuczym na czele.

Do tego należy dodać siedmiu wyższych oficerów lotnictwa, odznaczonych orderami Virtuti Militari, naszych kolegów, którzy uniknęli niewoli. Nie uniknęli jednak przemocy i zbrodni. Sąd wojskowy skazał ich, pod fałszywymi zarzutami zdrady, na karę śmierci. Wyrok wykonano 7 sierpnia 1952 r. w Mokotowskim więzieniu.

Dwa zjazdy

Rok 1960

18 września 1960 r. ponad 600 osób zjawilo się na zjeździe w Dobiegniewie. Głównym punktem programu miało być wmurowanie aktu erekcyjnego w fundamenty przyszłej szkoły. Decyzja jej budowy własnym wysiłkiem zapadła w 1958 r. na zjeździe w Warszawie. Wmurowania aktu dokonał prof. Jerzy Hryniewiecki, w towarzystwie kilku kolegów.

Na zjeździe wysłuchaliśmy sprawozdania zarządu z dotychczasowej działalności, a także szczegółowych propozycji dalszego działania. Wszystkich cieszyła aktywność naszych obozowych architektów i hojność kolegów na rzecz szkoły.

Spotkałem wielu znajomych, wszyscy na odpowiednich stanowiskach, na ogół zadowoleni z pracy. Cieszył życzliwy do nas, nacechowany serdecznością, stosunek Władz miasta i ludności miejscowej. Proboszcz obiecał umieszczenie w bocznym ołtarzu kościoła figury Matki Boskiej, do której modliliśmy się w obozowej kaplicy. Twórcą rzeźby był nasz kolega, Horno Popławski. Zjazd zakończył się obiadem w wojskowej kuchni polowej.

Rok 2002

*Spotkaliśmy się niedobitki,
bo zmarłych już leżą
tysiące po różnych
cmentarzach w kraju,
im ślemy swe myśli gorące*

W. Domański

Już nawet nie wiem po raz który, byłem w Dobiegniewie. Tym razem zjawilo się nas na zjeździe tylko czterech. Gdzie reszta? Albo opuścili nas na zawsze, albo choroba lub niedołęstwo unieruchomiło ich w domu.

Chodzimy teraz po pięknie położonym na skraju Puszczy Drawskiej, wśród jezior, Dobiegniewie, ciesząc się jego widokiem. Jest schludne i zadbane. Co pewien czas napotykamy na nowo wybudowany lub odnowiony dom, a tuż przy naszej szkole w zaawansowanej budowie, podziwiamy szkolny gmach, gdzie ma być liceum ogólnokształcące. Naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy Plac Podchorążego Starca ze strzelistym, pięknym w swej prostocie, pomnikiem „Czynu Żołnierskiego”. Plac zamyka kościół z XIV wieku z bocznym ołtarzem z Matką Boską Woldenberską i brązową tablicą, upamiętniającą Woldenberczyków – ofiar stalinizmu.

Dzień był piękny i ciepły, idąc z naszego Muzeum, które powstało w 1986 r. i które stale nas ku sobie przyciąga, wstąpiliśmy na piwo, gdzie spotkało nas miłe zaskoczenie: sprzedawca odmówił wzięcia od nas zapłaty.

– Jesteście naszymi gośćmi. Za drutami, przecież piwa nie mieliście – odparł.

Z podobną życzliwością spotykaliśmy się niemal na każdym kroku, a największą bodaj w szkole, ze strony kierownictwa i grona nauczycieli. Młodzież także darzyła nas sympatią i ciekawością w oczach, mieli bowiem przed sobą żołnierzy sprzed z górą pół wieku. Zapewne przyczyniła się do tego szkoła, która potrafiła swoich wychowanków zainteresować dziejami Polski, losami jej obrońców, a nawet ich twórczością. Spotkanie miało miejsce w szkole przez nas wybudowanej i przekazanej do użytku w 1963 r.. Wzięły w nim udział władze miasta i gminy, kierownictwo szkół, nauczyciele i zaproszeni goście, a nade wszystko gość z Danii Niels Chrystiansen, syn pastora, który przez czas niewoli był chojnym i zapobiegliwym naszym opiekunem. Na wstępie oświadczył nam, że na zjazd przyjechał z polecenia nieżyjącego już swego ojca, który przed swoją śmiercią, polecił mu utrzymać kontakt z Woldenberczykami. Ojciec mówił, że wysoko sobie cenił poznanie polskich oficerów w niemieckiej niewoli. Był pod urokiem ich wewnętrznej organizacji, pracowitości, zdolności i

niezłomnej wiary w ostateczne zwycięstwo i powrót do kraju. Szczególnie uderzało go wśród oficerów poczucie godności i honoru. W latach wojny i okupacji, prześladowań, niepewności i zbrodni, ojciec – mówił syn – po pobycie w oflagu, wśród jeńców polskich, znowu nabierał wiary w wartości człowieka. To słysząc, wyraźnie odczuliśmy jakąś międzyludzką solidarność i wdzięczność w stosunku do pastora. Poczułem się dziwnie mocny, odmłodzony i dumny z tego, że ponad pięć lat żyłem w naszej obozowej społeczności, którą tak wysoko oceniał obcy człowiek z Kopenhagi. Po chwili zastanowiłem się, że przecież będąc w niewoli nie mogliśmy się inaczej zachować, bo takie były nasze zasady. Tak nas wychowano w Polsce, która wielkim wysiłkiem, poświęceniem i licznymi ofiarami, odzyskała niepodległość.

Spotkanie „Woldenberczyka”

Na zakończenie, myślę, że nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę na przygodę, jaka po latach, spotkała naszego kolegę. Opowiadał mi o niej por. dr Jerzy Młodziejewski, znany w obozie popularyzator muzyki poważnej. Gdy będąc w Wiedniu, późnym wieczorem po koncercie wracał do hotelu, spotkał Woldenberczyka. Po z górą 30 latach nie widzenia, rzucili się sobie w objęcia. Po chwili, uświadomił sobie, że tym „Woldenberczykiem” jest nie kto inny tylko Austriak, Majerhofer, hauptman Wehrmachtu, który zwykle każdego dnia liczył nas na apelach. W stosunku do nas zachowywał się przyzwoicie. Młodziejewski nie anulował jednak swojej serdeczności. Pogodził się z rolami, jakie im w przeszłości los wyznaczył. Teraz obaj znaleźli się w innym świecie, jako wolni i pojednani.

Ar. Bruci